

<p>Logotyp</p> 	<p>Nazwa instytucji</p> <p>Muzeum Ustrońskie</p>	
<p>Tytuł jednostki / publikacji / fotografii</p> <p>Miniatury, „Życie Literackie”, 11 września 1983 r., nr 37(1642), s. 9.</p>		
<p>Ilość stron oryginału</p> <p>1</p>	<p>Ilość skanów</p> <p>1</p>	<p>Liczba plików publikacji</p> <p>5</p>
<p>Autor</p> <p>Jan Szczepański</p>	<p>Wydawnictwo / zakład fotograficzny</p> <p>Robotnicza Spółdzielnia</p>	<p>Skan okładki</p> 
<p>Miejsce wydania</p> <p>Warszawa</p>	<p>Rok wydania / Data powstania</p> <p>1983</p>	
<p>Sygnatura</p> <p>---</p>	<p>Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.)</p> <p>artykuł</p>	
<p>Wymiary (wys x szer)</p> <p>19 x 45,5 cm</p>		
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce)</p> <p>XX wiek, II Rzeczpospolita, Polska Rzeczpospolita Ludowa, Jan Szczepański, Franciszek Józef I, Ustroń, Śląsk Cieszyński, Austro – Węgry, Cieszyn</p>		
<p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuźnia, letnicy itp.)</p> <p>rolnictwo, kultura, kultura ludowa, Kościół Ewangelicko – Augsburski w Polsce, polscy ewangelicy, wspomnienia, bieda, społeczeństwo, socjologia, „Życie Literackie”, Beskidy, rodzina, Śląsk, dieta, jedzenie, c. k. monarchia, sentyment, szkolnictwo, edukacja, gimnazjum, wycieczki, Zawodzie, polski ruch narodowy, Dom Narodowy w Cieszynie,</p>		
<p>Prawa autorskie</p> <p>---</p>		

Cieszyn

To był daleki i wielki świat. Skoczów też był miastem, ale niezbyt poważnym, bo jego fojt chodził w drewniakach, ale Cieszyn był miastem dużym. W Cieszynie na Bobru mieszkał Jędrys, taty brat, a drugi brat taty Jonek, majster w hucie trzynieckiej, mieszkał na innym przedmieściu. Bracia i ich dzieci przyjeżdżali do nas, najczęściej „na Jakuba” czyli uroczystości rocznicy poświęcenia kościoła w Ustroniu, a my też czasem jeżdżiliśmy do nich z odwiedzinami. Pierwsze zapamiętane wrażenie z Cieszyna, to widok ogromnej kamienistej pustyni, jaka roztaczała się przed moimi oczami, gdy prowadzony przez mamę za rękę, idąc z dołu z doliny Bobrówki gdzie jest położony dworzec kolejowy, wszedłem z nią na rynek. Rynek był wtedy wybrukowany i jakieś proroctwo mówiło o wielkich czasach, gdy rynek w Cieszynie zostanie zaorany. Nikt w to nie wierzył a jednak przyszedł czas, gdy bruk zerwano, rynek zaorano, wygladzono i wyasfaltowano. Ale wróćmy do tych dawnych czasów, kiedy cieszyński rynek był wybrukowany.

Rynek miał w środku figurę św. Floriana, jeżeli dobrze pamiętam, a najważniejsze budynki to był ratusz z wieżą, słynny Dom Narodowy, hotel „Pod brunatnym jeleniem” sławny bo w nim zatrzymywali się i cesarz i arcyksiążęta, legenda mówiła, że i Napoleon, i wiele innych wybitnych osobistości. Dla dzieci jednak najważniejsze były podcienia. „Pod laubami” mieścił się „pokoik śniadańkowy” u Prchali, coś w rodzaju kawiarenki, baru i restauracyjki. Jeszcze w późnych

Przybosie pisał w „Balladzie o dalekich rzekach”: „wróć tocząc inną rzekę — jednobrzezną Olzę”.

4.V.1983

Wycieczki

Nie wiem czy wycieczki w góry zostały przejęte od kąpielorzy, czy też zaszczytli je nauczyciele w szkole, organizując co roku dla dzieci wycieczkę w góry, czy też były to echa wczesnego ruchu turystycznego mającego dawne tradycje — w każdym razie chodzenie w góry było swego rodzaju obrzędem i uroczystością. Jak przez mgłę pamiętam taką rodzinną wycieczkę w którąś niedzięłę. Tata przygotował drabiniasty wóz, postawił na nim ławki, w drabiny wplotł gałęzie lipy, których szerokie i gęste listowie dawało cień. Mama przygotowała zapasy żywności i smakołyki jak na święto. Brat mamy przyprowadził z Pustek konie. Pojechał z nami także młodszy brat a może i młodsze siostry mamy i wyruszyliśmy wczesnym rankiem. Droga przez Brzezinę do wywozu, brodem przez Wisłę a potem pod górę drogą przez Ustron, Polanę, przez Oblaziec, gdzie Wisła przebiega się przez góry dość wąskim gardłem i dalej przez wieś Wisłę wzdłuż koryta coraz mniejszej rzeki w stronę jej źródeł pod Baranią. Droga była wówczas wąska, kamienista, po prostu dwie koleiny pełne kamieni. Ale my patrzyliśmy jak Czantoria obróciła się wokół nas i pokazała swój grzbiet zazwyczaj ukryty, jak za Oblazcem wyłoniły się nowe szczyty niewidoczne z Zawodzia.

Celem wielogodzinnej jazdy była położona w Czornym, czyli dolinie Czar-

polykania przestrzeni „odrzuconej w krokach”, rzemienna odporność na zmęczenie, obywanie się byle jakim wiktem (na który zawsze było za mało pieniędzy) i umiejętność słuchania i rozumienia mowy lasu, to wszystko stanowiło istotny składnik przedproża młodości. Jak dobrze było nie wiedzieć, co jest za tym pogriem.

2.V.1983

Dojeżdżanie

Przez pierwszy rok pobytu w gimnazjum mieszkałem w bursie, potem jednak rodzice doszli do wniosku, że nie mogą pokryć takiego wydatku i przez następne kilka lat dojeżdżałem do Cieszyna. O ile pamiętam pociąg wyjeżdżał z Ustronia o 6.30, w Golezowie trzeba było przesiadać do pociągu idącego z Bielska przez Skoczów do Cieszyna. Jazda z Ustronia do Golezowa trwała 6—7 minut, między Golezowem a Cieszynem były trzy przystanki i w Cieszynie byliśmy ok. 7.20 a zatem do gmachu gimnazjum wchodziliśmy ok. 7.30 ku wielkiemu utrapieniu wóznym. Dojeżdżała nas bowiem duża gromada z okolicznych wsi i w pociągach był zawsze specjalny wagon „dla młodzieży szkolnej”. Z Cieszyna pociąg odchodził ok. 15.30 i w Ustroniu wysiadałem ok. 16.15. Z domu do dworca szedłem w sprzyjających warunkach ok. 30 minut, a w zimie, po nocnych zawiejach znacznie dłużej. Pociągi w tych czasach chodziły punktualnie.

Czym były dla mnie te lata dojeżdżania? Zawdzięczam im wiele. Nauczyłem się przyzwyczaić do wczesnego wstawania. Z domu wychodziłem o 6., a gdy leżał głęboki śnieg

JAN SZCZEPAŃSKI

Miniatury

latach 30. był to zakonserwowany rezerwat dawnych cesarsko-królewskich czasów. Tutaj chadzałyśmy za gimnazjalnych lat, a kiedy pierwszy raz z żoną odwiedzałem Cieszyn, to oczywiście weszliśmy także do Prchali, gdyż za drzwiami jego lokaliku czas się zatrzymał. Obok hotelu stał duży skład z towarami metalowymi Kończakowskiego. Zatrzymywaliśmy się często przed jego wystawami oglądając z niemym zachwytem scyzoryki, noże myśliwskie a może była tam także broń myśliwska.

Od brzoń ulica Głęboka schodziła do Olzy a sieć innych uliczek rozpełzała się we wszystkich kierunkach, i w górę na wzgórze w stronę kościoła ewangelickiego, i w dół ku zamkowi stojącemu nad Olzą ze starą wieżą piastowską i romańską kaplicą, należąca do najstarszych budowli polskich. Może jednak gospoda „Pod modrą gwiazdą” była ważniejsza od zamku, wieży i kaplicy. W tych uliczkach czas również się zatrzymał. Stare szyldy, ramy, figury, studnia „trzech braci” gdzie spotkali się Lech, Czech i Rus, założyciele Cieszyna i trzech przylegających państw. O dziejach Cieszyna wiedzieliśmy mało, o piastowskich księżętach wiedzieliśmy więcej z legend niż z historii, bo całą przeszłość wchłoniął w siebie cesarz Franciszek Józef i przed nim właściwie niewiele się działo. A kiedy już bardzo późno, bo w latach 60., znalazłem się w Lublanie, i pętałem się sam po jej starych uliczkach, tak samo w Bratysławie, odnajdowałem w nich spokój i smętne uśmiechy czasu zatrzymanego w starych fasadach Cieszyna.

W latach międzywojennych Cieszyn był bardzo żywym ośrodkiem kulturalnym i politycznym. Tu wychodziło wiele gazet i czasopism. „Zaranie Śląskie”, „Głos Ludu Śląskiego” — pismo ludowców, katolicka „Gwiazdka” i ewangelicki „Poseł”, gazety socjalistyczne, gazety w języku niemieckim — razem już nie pamiętam ile. Bo Cieszyn leży na skrzyżowaniu ważnych dróg: na północnym wyjściu z Bramy Morawskiej, którą szedł od tysiącleci szlak bursztynowy, na drodze z Niemiec przez Bogumień do Słowacji, Koszyc i na Węgry, i jak na każdym szlaku osiadali tu wędrowcy i zakładali rodziny. Byli tu więc u siebie Polacy z dawnych wieków, i Reformacja przyszła tu z Polski ze swoimi starośrodkami, osiadali Słowacy i Czesi, Niemcy i Madziarzy. Powtarzałyśmy za dziecinnych lat „Hósar Madziar kukurzyca”. W wielonarodowościowym Cesarstwie było to naturalne, dopiero po 1918 roku różne narodowości tworzące własne państwa skoczyły sobie do gardła o skrawki ziemi. A może zawsze sobie skakały, tylko ja o tym nie pamiętam.

Cieszyn jednak to lata gimnazjalne, lata dojrzewania i odkrywania świata. Miałem w tym odkrywaniu mistrza wielkiej miary, Juliana Przybosia, opiekuna naszej klasy od 4. do maturalnej 8. Ale ramy tego odkrywania stanowił Cieszyn, w jego domach, fasadach, placach i uliczkach przebiegał ten proces formowania umysłu i wyobraźni. Z jednej strony miasto rzetelnych drobnomieszczan, rzemieślników i kupców, z drugiej poezja utrwalonych dziejów i żywa poezja Przybosia. Miasto spokojne i uregulowane, żyjące rytmicznie i pracowicie, a piękne jak dolina Olzy, i błękitne Beskidów w tle. O tej Olzie

nej Wisłki, gospoda „Na Fojtuli”. „Gospodzki” był znajomym tatą, bo chłopcy z Ustronia też tu przejeżdżali czasami ścinać i wywozić potężne smrek i jedle, tworzące tu wtedy ogromne lasy. Tu brat mamy został z wozem i końmi a my poszliśmy długą drogą na szczyt Baraniej. Przez las w górę zboczył, już nie pamiętam jak długo, ale pamiętam ten rozległy widok na dolinę Soły, dalekie szczyty Pilska, Babiej Góry, daleko gdzieś majaczyły szczyty słowackiej Fatry. I pamiętam jak bardzo bolały mnie plecy na ławce między drabinami wozu. Wróciliśmy już w nocy i ta jazda przez góry, pod gwiazdami, miała niesamowity urok. Gdyż tu przecież niedaleko była Malinowska Skała z wielką jaskinią w której mieszkali zbrojcy i nie wiadomo było, czy na nas nie napadną, a ponadto przecież z lasów nad górskie potoki wychodziły nocnice rzucające urok na ludzi i ściągające konie na bezdroża. Noc zaludniała lasy i doliny cieniami zjaw i duchów, nadawała mowie rzeki i potoki nowe wyrazy i znaczenia, zmieniała świat w groźne królestwo ciemności, kojarzące się tylko z diabłem i piekłem.

Wycieczki szkolne były zupełnie inne. Szła cała gromada, zazwyczaj kilka klas razem na Równicę a wyższe klasy na Czantorię lub na Stożek do Wisły. Nauczyciele pilnowali krzyżującą gromadę. Do tradycji i obyczaju należało śpiewanie, może w ten sposób nauczyciele ułatwiali sobie pilnowanie rozbieganych dzieci. Na wycieczkę wkładało się buty ale z wycieczki wracało najczęściej z butami przewieszonymi na sznurowadłach przez ramie. Żywność przygotowywała mama, najczęściej chleb z masłem i kiebasą, co wybitnie podnosiło wartość wycieczki, niezależnie od tego, że był to dzień wolny od zajęć szkolnych. Największym jednak urokiem było kupowanie w schronisku gazowanej lemoniady.

Potem przyszły wycieczki w góry z kolegami szkolnymi, to już po czterem nastym roku życia, zwłaszcza z kolegami z gimnazjum, do którego zdałem egzamin w 1926 roku, do trzeciej klasy. Z Kornelem Filipowiczem, Zdzisławem Nardelliem (tym od Matusiaków), Alfredem Łaszewskim, Władysławem Sztwiertnią (późniejszym profesorem Politechniki i konstruktorem maszyn górniczych), pętałyśmy się z namiotem lub tylko z kocem, śpiąc pod drzewami na ściółce choiny i liści, między Równicą, Baranią, Skrzyżnem, Pilskiem i Babią Górą, chodząc sobie tylko znanymi ścieżkami, schodząc do dolinek małych potoczków, daleko od znakowanych dróg turystycznych, we wszystkich rodzajach pogody. Czego szukaliśmy? Śladów opowieści o górach z wczesnego dzieciństwa, gdy jeszcze góry były tylko boskie i arcyksiążęce? Idealiów harcerskich ukrytych w lasach i czekających na silnych i sprawnych? Londonskiego znoju na szlaku, długich marszów, podchodów na strone zboża i „niedźwiedziogę mięsa”? A może podświadomie sprawdzaliśmy siebie przeczuwając wojny i trudy kryjące się za młodzięcymi rojeniami i marzeniami o „przyszłości cudnej”? A może tylko odpowiadaliśmy na wezwanie dolin i „ściemniałych fal szczytów”, ulegając „starej tęsknocie za szlakiem, za dalą”? Deptanie gór było namiętnością zbyt silną, by ją analizować i pytać dlaczego. Umiejętność

i o tej porze ścieżki nie były przetarte, to o 15 czy 20 minut wcześniej. Wstawałem więc o 5.30 i to przyzwyczajenie pozostało na całe życie, dzięki czemu większość prac pisarskich wykonywałem wczesnym rankiem, przed pójściem „do pracy”. Odrobiwszy wczesnym rankiem pisarską „normę”, mogłem potem spokojnie „urzędować”, gdyż dzień nie mógł już zostać zmarnowany.

Codziennie chodzenie do dworca i z powrotem pozwalało mi na utrzymanie „bieżącego” kontaktu z przyrodą — każdej porę roku, oglądając cykle życia drzew i ptaków, cykle wzbierania i wysychania Gościardowca i Wisły, i cykle pracy ludzi w polu.

Nauczyłem się odrabiania lekcji w poczekalniach i w pociągu, gdyż w domu od wiosny do jesieni trzeba było pomagać w gospodarstwie, a jeżeli odrabiałem lekcje to w kuchni, przy lampie naftowej stojącej na odwróconym garnku na stole, gdzie skupiało się całe życie gospodarstwa. Wytworzyłem więc sobie umiejętność skupienia się i do dziś mogę pracować w każdym gwarze, mogę pisać swoje teksty w czasie zebrań, w każdych warunkach. W czasie wojennych robót przymusowych stojąc przy towarce trzymałem lewą ręką na „sztan-dze” do której był wmontowany nóż, wykrawający wewnątrz długi „Stator” elektrycznego motoru, kontrolując jego pracę, a w prawej ręce trzymałem ołówek i pisałem to co miałem wtedy do napisania. Tę podzielność uwagi i możliwości skupienia też sobie wypracowałem w latach dojeżdżania.

Nauczyłem się traktować trudności jako rzecz naturalną, z którą się trzeba rozprawić. Nie była to moja postawa indywidualna. Dla całej gromady moich kolegów dojeżdżających z okolicznych wsi do szkół w Cieszynie czy Bielsku, była to postawa oczywista. Byliśmy przecież wybrańcami losu — „chodziliśmy do szkół”. A te szkoły to były dwa gimnazja, szkoła handlowa, szkoła wydziałowa w Cieszynie (była też Wyższa Szkoła Rolnicza ale z „akademikami” nie utrzymywaliśmy żadnych kontaktów), i wszystkie te szkoły miały stosunkowo wysoki odsetek dzieci chłopskich.

Dojeżdżałem przez cztery lata a w ostatnim roku maturalnym zamieszkałem znowu w Cieszynie, na prywatnej stacji, dzięki pomocy szwagra. Gdy zamknę oczy widzę znowu drzewa, domki, stacyjki, bażanty, krzaki, dolinę Bobrówki wzdłuż której pociąg jechał od Bażanowic (gdzie była hodowla bażantów) do Cieszyna. Taką jaką ona była wtedy.

Wiosną 1961 roku rozmawiałem w Południowej Dakocie, w rezerwacie Pine Ridge z wnukiem Czerwonej Chmury, sławnego wodza Indian z plemienia Dakotów. Staliśmy na wysokim wzgórzu, a przed nami w dolinie leżało miasteczko wyrosłe na miejscu dawnego obozowiska indiańskiego. Charles Red Cloud pokazał ręką miasteczko i zapytał: „Widzisz to miasteczko”? „Widzę” odpowiedziałem. „Ja go nie widzę, ja widzę ten kraj takim jakim był w mojej młodości”.

5.V.1983

JAN SZCZEPAŃSKI

ŻYCIE LITERACKIE
Nr 1642

Str. 9

nr 37 11. IX. 1983